Rocznik I. Kraków 15-go maja 1909. Nr. 5.

ŚWIATŁO

czasopismo powieściowe i popularno-naukowe
wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia 15-go.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi:
w AUSTRYI na **rok: 4** korony — **półrocznie: 2** korony. —
Do NIEMIEC na rok: **4** kor. **50** hal. — Do AMERYKI na rok: **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie, ul. Powiśle 12.

POPIEL I PIAST.

Powieść historyczna z IX. wieku.

(Ciąg dalszy).

Kraska, który był zawsze na usługi pana, zbliżył się doń, aby mu pomódz w rozbieraniu się.

— Daj mi pokój — zawołał Popiel, potem dopiero, jakby poznając go, dodał łagodniej — a to ty, Kraska, tyś mi życie ocalił, dobry z ciebie chłopak.... Idż spać, nie potrzebuję cię teraz.

Kraska poszedł do sąsiedniej izby, a tam legł na podłodze, ale na sen mu się nie brało. Słyszał ciężkie kroki knezia i głos jego, który to cichnął, to znów gwałtowniej wybuchał.

Popiel odgrażał się, że krew się lać będzie, a słuchać go muszą wszyscy, jego jednego tylko, bo albo panem chce być, albo raczej zginąć woli. Czasem głos knezia był tak straszny, że Kraska drżał, jak liść osiki, i wciąż tylko słyszał:

— Ja jeden tu panem, a kto piśnie słówko rady, pójdzie na gałąź, albo w jezioro na pociechę rybom.

Dopiero nad ranem Kraska usnął, a śniła mu się krew, słyszał jęki mordowanych i widział nad bramą zamkową wiszącego knezia Zboisława. Obudziwszy się, patrzał, czy naprawdę krwi gdzie niema. Dopiero przekonawszy się, że to był tylko sen, uspokoił się.

Z pod zamku lud zaczął się rozchodzić; kneziowie też niedługo bawili, widząc uparty gniew Popiela. Pilno było każdemu do domu własnego. Kraska się też wyprosił do swego stryja, którego dawno nie widział. Kneź mu iść pozwolił i obdarzył, a przykazał tylko, aby rychło wracał, bo mu był pod ręką potrzebny.

Na zamku zrobiło się znów cicho.

Kraska na pięknym koniu, z mieczem przy boku śpieszył do chaty stryja, kryjącej się w lesie, niedaleko z drugiej strony Gopła. Pilno mu było do swoich; chciał się nacieszyć ich widokiem, a tyle miał do opowiadania o wojnie i sobie. Na książęcym zamku dobrze mu było, ale przecież lepiej w cichej chacie kmiecej, obok kochającego stryja i jego żony.

Niebawem ujrzał się u kresu drogi. Widział znów tę chatę nizką za dębowym płotem, zwykle tak cichą, spokojną, a koło której dziś dużo kręciło się ludzi i gwar panował jakiś uroczysty.

Kraska z konia skoczył, uwiązał go u płotu i szukał jakiej znajomej twarzy. Chwilę się rozglądał i ujrzał stryja, otoczonego poważnymi kmieciami. Podbiegł do niego i do kolan mu się schylił.

— Witajcie mi stryju kochany!

— A witajże chłopcze miły, już cię oczy moje z tęsknotą wyglądały.

— Musiałem być przy kneziu.

— A wiem, wiem, dzielnie się sprawiłeś.

Znajomi kmiecia witali odważnego Kraskę, a każdy mu czyn jego chwalił.

— A co to u was za święto? — zapytał Kraska.

— Nie wiesz? — zawołał jeden z sędziwych kmieci— a toż dziś stryj twój, zacny nasz Piast, wyprawia postrzyżyny jedynakowi.

— Jakże mi miło, żem w taki dzień przybył.

— Chodźże chłopcze do chaty, powitać moją żonę i małego Ziemowita.

Poszli a za nimi poważni kmiecie, którzy Piasta w wielkiem mieli poszanowaniu.

Kmieć to był ubogi, ale pracowity i rozumny, jak rzadko. Starsi przychodzili pytać go o radę, a on skromny i małomówny, mówił każdemu jak myślał i zawsze poradził dobrze. Serce miał zacne i poczciwe, gościom choć w ubogiej chacie zawsze był rad i nigdy też nikt nie ominął jego progów. Ziemi miał kawał niewielki, a rodziło się na niej szczęśliwie i z roku na rok zostawało trochę zboża. Barci zaś takich jak u Piasta, nie wiele było dokoła. Powiadali ludzie, że u niego nigdy i jedna pszczoła nie zginęła, a miód znosiły wyborny i więcej go było, aniżeli gdzieindziej.

To też u Piasta zawsze był na stole chleb i miód; drzwi stały, jak to było we zwyczaju, zawsze otworem, chociażby gospodarza nie było doma. Garnęli się też ludzie do Piasta, bo był dziwnie zręcznym kołodziejem. Sam sobie wszystko robił, a nikomu pomocy nie odmówił. Jesienią, kiedy już w polu roboty nie było, można było widzieć Piasta przed chatą, zajętego naprawą wozów i pługów. Z daleka nawet przybywali doń ludzie z prośbą o naprawę lub zrobienie wozu, czy pługa. A on, chętny zawsze do pracy, ugaszczał każdego i zręcznie strugał dzwona do kół, że to wszystko wyglądało jak ulane.

Nie dziw więc, że dziś, kiedy w chacie Piasta obchodzono tak ważną uroczystość, jak postrzyżyny jedynaka, zebrało się sporo kmieci, a nikt nie przyszedł z próżnemi rękoma, więc było jadła i napoju poddostatkiem.

W chacie miejsca nie było wiele, więc goście wychodzili na podwórze, gdzie im Piast przyrządził długie ławy, a żona jego, Rzepicha, podawała jadło i pełne dzbany miodu. Gwarzono wesoło to o tem, to o owem, a już najwięcej o ostatniej wojnie, o której Kraska umiał wiele opowiedzieć. Rozpytywano go ciągle, to o knezia, to o kneziów i Wojewodów, to wreszcie o niego samego, a Kraska opowiadał co widział i słyszał, nie tając gniewu Popiela po odejściu knezia Zboisława. Mówił, co podsłuchał w nocy, w szałasie kneziowskim, chociaż nie wszystko

rozumiał, ale pamiętał dobrze każde słowo. Nie mógł przecież zapomnieć, co kneź tyle razy powtarzał, że on jeden tu tylko panem, a kto piśnie słówko rady, pójdzie na gałęź, albo w jezioro.

Kmiecie głowami kiwali, Piast był zamyślony, jakby przeczuwał jakieś nieszczęście, ale nikt nie odzywał się z tem, co myślał.

Słońce zachodziło. Daleko za łąkami i polami paliły się chmury, dotykające ziemi, wyżej niby krew rozlewała się po niebie, a po niej, jak złote nici, przebiegały ostatnie promienie słońca. Piast i jego goście patrzyli na ten piękny widok. Zdawało im się, że to ziemia gdzieś daleko, co wieczora taki wielki stos ofiarny pali na cześć bogom. Dobrze im jakoś było i myśleli może, jakie to szczęście, że już nie widać teraz ogni i dalekich łun pożaru, wznieconego przez wroga.

Kiedy tak, milcząc, patrzyli przed siebie, nagle, na ognistem tle zachodu, ukazały się dwie białe postacie. Na palącym się horyzoncie szaty ich lśniły się biało, niby z chmur utkane. Szli wolno, zdążając wprost ku chacie Piasta. Nikt oka nie mógł oderwać od tego widoku; nie chciano wierzyć, żeby to byli ludzie, zdawało się, że to bogowie jacy, albo ich posłannicy. A dwaj biali szli wprost ku chacie, zbliżali się coraz bardziej i widać już było ich twarze i włosy długie, a jasne, niby lniane.

Stanęli u wrót, oddali pokłon siedzącym, a starszy z obu odezwał się:

— W imię Boże pozdrawiamy was.

Język, w którym to mówił, był niby nasz, a jednak jakiś inny. Wszyscy go wszakże zrozumieli.

Piast powstał szybko z ławy i spieszył witać nowych przybyszy.

— Bywajcie mi mili w zagrodzie mojej.

— Błogosławieństwo niech spłynie na ten dom gościnny — odezwał się znów starszy z przybyłych głosem łagodnym i śpiewnym.

Piast posadził obu za stołem, częstował chlebem i miodem; oni przyjęli, lecz zanim pokarm do ust podnieśli, coś cicho szeptali. Obecni domyślili się, że to jakaś była modlitwa. Poznali już, że przybysze byli z daleka, ale pewno

pobratymcy, bo mowę mieli podobną, słowa zrozumiałe każdemu.

Wszyscy patrzyli z podziwem i szacunkiem na nowych gości. Młodzi jeszcze byli obaj, lecz twarze mieli poważne, a dziwnie jasne, promienne. Każdy radby był wiedzieć, kto oni i skąd, a pytać się nie godziło. Gość w owych czasach wszędzie u nas był mile witany, ktobykolwiek on był. Nawet wrogowi nie odmawiano gościny, gdy go noc, niepogoda, lub głód zaskoczyły.

— Dobrzy bogowie was do nas przywiedli — przemówił Piast — bo to dziś u mnie święto postrzyżyn Nie odmówicie synowi memu waszego błogosławieństwa?

Był wtedy taki zwyczaj, że każdy z poważniejszych gości błogosławił postrzyganego syna gospodarza. Piast tem skwapliwiej o błogosławieństwo prosił przybyszy, bo mu się dziwni wydawali, jak duchowie.

— Radzi będziemy waszemu synowi.

Rzepicha przywiodła siedmioletniego Ziemowita, stawiając go przed nowymi gośćmi.

Oni mu ręce kładli na głowę, oczy wznieśli ku niebu i coś cicho mówili. Nikt słów nie słyszał, a każdemu się zdawało. jakby to był śpiew jakiś. Byli przekonani, że owi dwaj obcy, to jacyś kapłani.

— Obyś był szczęśliwy — odezwał się głośno jeden z błogosławiących — i obyś drugim niósł szczęście. Bóg niech cię prowadzi do chwały.

Potem ręką zrobił nad głową chłopca znak krzyża.

Obecni patrzyli ciekawie, a niektórzy domyślili się, iż przybysze ci byli kapłanami nowej wiary, o której u nas już wtedy mówiono nieraz. Wiary tej bano się, a może większą była obawa starych bogów, którzyby się pewno mścili zniewagi odstępstwa.

Piast uściskał dłonie błogosławiących.

— Bogowie niech wam nagrodzą za dobre słowa, a oby się one sprawdziły.

— Bóg każe z dobrem słowem iść w świat, między ludzi, a błogosławieństwo Jego spływa na wszystkich, którzy na nie zasługują.

— Zdaje mi się, że z waszych rąk samo dobro tylko może spłynąć — mówił Piast.

— Cieszymy się, żeśmy taką gościnę znaleźli.

— I to tylko przez złych ludzi — dodał drugi.

— Szliście do mej chaty, jakby wam droga dobrze była wiadoma.

— Opatrzność nas wiodła, kiedyśmy daremnie pukali do innych wrót.

— Na naszej ziemi miałażby was spotkać taka sromota — zawołał Piast — u nas, gdzie gościnność tak świętą jest każdemu?

— A jednak tak było — mówił z uśmiechem starszy — wyrzucono nas za wrota kneziowskiego dworca.

Wszyscy spojrzeli po sobie.

— Srom i hańba nam — wyszeptał Piast.

— Nie zawsze to na wielkich dworach tak poczciwie czują, jak pod strzechą wieśniaczą, a nam tu gościna milsza i lepsza.

Kmiecie poczęli narzekać na knezia, który nieraz już okazał się srogim i nieludzkim.

— Chce nam panować sam jeden tylko i nie uszanuje rady siwej głowy.

— Stare prawa i zwyczaje depce nogami.

— Dwa wiece nam skradł i nowego nie myśli zwołać!

Na wspomnienie wieców burza powstała pomiędzy kmieciami.

— Musimy mieć wiece, jak ojcowie i dziadowie nasi!

Piast starał się uspokoić swoich gości.

— Nie pora było myśleć o wiecu, kiedy wróg siedział na karku i na wojnę się miało.

— Tak, to teraz, a zeszłego roku?

Piast nic nie odpowiedział.

Goście rozprawiali głośno i słychać było pogróżki.

— Pamiętajmy, że to pan nasz — przemówił Piast — i jemu winniśmy posłuszeństwo.

— Na wojnie, a w pokoju najwyższym panem jest naród, który przez wiec daje swoją wolę. I wy Piaście możecie bronić knezia, który nam ten skarb najdroższy odbiera!?

— Nie bronię ja go, wiem co złego zrobił, ale teraz trzeba czekać, co będzie.

— Już my nic dobrego nie przeczuwamy.

— Wola bogów — mówił Piast spokojnie.

— To prawda, ale słyszeliście, co Kraska mówił. Kneź się odgraża, to i wiecowaniu zechce koniec położyć. Dawno już o tem myśli, bo mu nasza rada zawadza.

— Kiedy kazał zapalić wici, poszliśmy wszyscy na wojnę i słuchali każdego skinienia, ale teraz nie damy sobie zrobić krzywdy! — wołano, a Piast głowę opuścił na piersi i głęboko się zamyślił.

Znał on także knezia i może się obawiał, aby to, co mówiono, nie sprawdziło się. Wychowany w kmiecej swobodzie, pod ubogą strzechą, znał dobrze stare prawa i zwyczaje i ukochał je tak, jak ziemię rodzinną. Koroną tej swobody i praw kmiecych był wiec. Wtedy mężowie zbierali się z całej ziemi i radzili nad jej dobrem, a co na wiecu uchwalono, stawało się prawem i sam kneź to uszanować musiał. Bez tego prawa czemżeby był naród? Chyba kupą niewolników, jak to podobno gdzieindziej się działo, u niemców naprzykład. Kmiecie wiedzieli, jak niemcy ludzi powrozami i kijami pędzili w bój — u nas każdy szedł walczyć sam, bo to były boje za ziemię i prawa, które ukochano. Miałożby być u nas kiedyś tak, jak u innych?

O, nie! Bogowie tego nie dopuszczą, a naród będzie się bronił, chociażby przeciwko własnemu kneziowi.

Czuł to i rozumiał Piast i dlatego był zamyślony i smutny. Wiedział, że bronić się jest obowiązkiem, ale obrona taka przelewa krew i gubi wielu.

Na niebie wschodziły gwiazdy. Gwary ustawały, czas było na spoczynek. Wkrótce w chacie Piasta zrobiło się cicho. Wszyscy spali twardo, snem ludzi sprawiedliwych.

Na wysokim dachu bocian spał na jednej nodze, w gęstwinie zaśpiewały słowiki, w dali słyszeć się dała kapela żab na błotach. Zresztą wszystko zdawało się pogrążonem we śnie głębokim.

Wtem, pod opłotkami, coś zaszeleściało i po ciemnej ziemi przemknęło coś szarego, niby pies. Poruszało się to szybko, aż wreszcie, daleko już za chatą, zaczęło róść w górę. Ktoby był w noc tę popatrzył, ujrzałby człowieczka małego, który umykał z pod opłotków chaty Piastowej, hen, przed siebie. A pilno mu było bardzo.

Gnał w stronę Gopła, rzucił się w szuwary, a po chwili ta sama postać kołysała się na łódce, szybując, jak ptak prosto, a szybko. Dopłynął do dworca, wyszukał żerdź grubą, sięgającą dachu, i niby kot wdrapał się po niej na górę i znowu zniknął.

Po kilku dniach pobytu u Piasta, wracał Kraska na dworzec kneziowski. Nie bardzo mu się tam chciało, ale musiał.

— Zostałbym chętnie w waszej chacie — mówił do Piasta — sercu tu lepiej, a głowie weselej.

— Ale służba nie żarty — odpowiedział mu stryj — źle ci tam nie jest, a teraz tem bardziej będą ci dogadzali; ocaliłeś kneziowi życie.

Straszno tam czasem bywa — wyszeptał chłopiec ze smutkiem.

— Możesz się na co przydać. Jedź, pilnuj służby, kiedyś powrócisz, pobudujesz własną chatę i będziesz używał spokoju.

— Bywajcie mi zdrowi, stryju kochany, ja tu do was kiedy wpadnę.

— Pojechał, ale mu jakoś markotno było. Myślał o tem i owem, aż wreszcie stanął przed zamkiem. Na podwórzu było cicho, straże, milcząc, przechadzały się po wałach. Kraska widział, że tu nikomu nie brało się na wesołość. Nie tak to, jak w chacie Piastowej, pomyślał i szedł do swojej izdebki, aby się z drogi przemyć i stawić u Popiela. Wnet też był gotów i szedł do komnaty książęcej.

Popiel siedział za stołem, podparty łokciami i chmurny. Kraska pokłonił mu się do kolan. Kneź spojrzał na niego z pod krzaczastych brwi, ale nie przemówił ani słowa. Poznał chłopiec, że pan jego w złem usposobieniu, więc szybko wysunął się do drugiej izby, usiadł na ławie i czekał na każde zawołanie, jak był przywykł.

Kneź siedział długo, czasem tylko słychać było stuknięcie dzbana, z którego popijał, i jakieś niewyraźne mruczenie. Potem ktoś wszedł do komnaty. Popiel porwał się z ławy i zaczął szybko chodzić.

Kraskę strach brał, ale słuchał. Jakiś głos cichy obijał się o ściany, to pewno księżna mówiła. Kneź długo nie odpowiadał.

— Daj ty mi pokój — zawołał wreszcie — ja tak nie mogę. Sam dam radę, albo zginę, a tak nie zrobię. To byłaby hańba zbyt wielka.

Coś księżna na to odpowiedziała, Kraska jednak nie mógł dosłyszeć.

— A potem musiałbym im służyć — mówił znowu Popiel — tyraliby mną, jak niewolnikiem; nie, nie chcę, nie mogę.

Rozmowa ta trwała dość długo; Kraska jej nie rozumiał, ale się czegoś złego domyślał.

Kilka dni następnych zeszło spokojnie. W tydzień potem spostrzegł Kraska wielki ruch na dziedzińcu. Zbrojono się, jak na wyprawę. Już prawie wszystko było gotowe. Kneź wyszedł na podwórzec i zawołał Rysia. Co mu mówił na ucho, a twarz miał groźną i dziką.

Stary słuchał i bladł coraz bardziej, potem do kolan się schylił i o coś widocznie prosił. Kneź już głośniej zawołał:

— Słuchaj mi zaraz, a nie radź!

Ryś z tą samą miną błagalną mówił dalej. Kraska, patrzący z komnaty przez okno, dosłyszał tylko:

— Bogowie ciężki by za to zesłali dopust na dom ten i siwą moją głowę.

Popiel zapienił się ze złości.

— Milcz i rób com ci kazał!

— Miłościwy panie, nie mogę, ręka moja nie splamiona nigdy, choć stara....

— Ha! psie jakiś! i ty się już buntujesz i tobie kneź niczem, może byś chciał ze stryjami miecz podnieść na mnie!? Słuchaj, albo cię tu zaraz....

Stary ciągle schylony, chciał knezia ująć za kolana.

— Miłościwy panie, na rękach was nosiłem, dajcie pokój tej sprawie....

Popiel porwał się, jak wilk raniony, obuszek podniósł do góry i z całej siły roztrzaskał go na głowie starca. Ryś padł do nóg knezia, krwią zbroczony. Popiel ryknął jak wściekły:

— Precz mi to ścierwo zabrać... Na bramie powiesić, a komu życie zawadza, niech mi tu przyjdzie!

Wszyscy zadrżeli ze strachu. Powleczono zwłoki starszego straży, szanowanego przez wszystkich, ale nikt nie śmiał się nawet pożalić śmierci jego.

Popiel chodził koło dworca, jakby go co pod nogami paliło a klął strasznie. Wreszcie zawołał jednego ze straży, a był to człowiek ogromny, szpetny, do dzikiego zwierza podobny. Pokornie a chytrze zbliżył się do knezia i słuchał, co ten mu na ucho mówił. Popiel rękami wymachiwał, sapał ze złości, a oczami błyskał strasznie. Potem na znak knezia oddalił się i wnet kupa zbrojnych na koń wskoczyła na ich czele ten, któremu jakiś ukryty rozkaz był dany; zatętnił most pod kopytami, a na podwórcu zrobiło się jeszcze ciszej, niż było przedtem.

Kraska, patrząc na to wszystko, czuł łzy w oczach, serce mu kołatało; skrył się w głębi domu, jakby się bał, by i jego kneź nie ubił jak Rysia.

Od tego dnia chmurniał kneź coraz bardziej, a często chodził do komnat żony, lub ona do niego przychodziła. Coś ciągle ze sobą szeptali; Popiel burzył się, a ona prosiła go łagodnie, lecz uparcie.

— Nie chciałeś mnie wpierw słuchać, choć mówiłam, jak będzie, teraz sam widzisz, żeś zbłądził. Nie wierz im.

— Nie wierzę żadnemu, ale tak zrobić nie mogę.

Księżna odchodziła, a zawsze na nowo rozpoczynała rozmowę i na coś nalegała.

I znów płynął dzień za dniem w groźnym spokoju, niby w lecie przed burzą. Każdy czuł, że się na coś złego zanosi, lecz bano się nawet pomiędzy sobą o tem mówić, aby kto nie podsłuchał i kneziowi nie doniósł. Teraz każdy drżał przed nim. Życie w jego rękach było niepewne.

Aż dnia pewnego ruch zrobił się na wałach; straż patrzała w stronę, skąd pędziła na koniach gromadka ludzi. Byli to ci, których kneź niedawno gdzieś wysłał. Dopadli bramy, krórą im prędko otwierano.

(Dokończenie nastąpi).

Piątek w Tuileryach.

Było to w pierwszym roku po rewolucyi lipcowej we Francyi, gdy król Ludwik Filip dał wielki obiad w pałacu Tuileryach, na który sproszono wszystkie najznakomitsze osobistości tak rządowe jak i wojskowe.

Choć to był piątek, dawano tylko mięsne potrawy, bo w owym czasie uważano to za coś bardzo bohaterskiego, pomiatać przepisami Kościoła.

Po prawej stronie królowej siedział jenerał Brun de Villeret, który do tej godności doszedł dla szerokiej sławy waleczności i wierności, których nikt nie mógł zaprzeczyć. Jako stary żołnierz niejedną przedsięwziął wyprawę i przez swe waleczne czyny nawet u wrogów był w wielkiej czci i poszanowaniu:

Między innemi, wyszczególnił się obroną wyspy Łobawy (Lobau), gdzie przez trzy dni bez wszelkich prowiantów, z małą garstką wojska, głodem osłabionego, wszelkim napadom nieprzyjacielskim się oparł, aż wojsko przyszło mu na odsiecz.

Ale na szczególną cześć sobie zasłużył, że jako żołnierz, na polu bitwy swą wiarę i swe ćwiczenia pobożne wiernie zachowywał, które to cnoty żołnierza i wodza nietylko zdobią i czcigodnym czynią, ale także jego męstwo i odwagę potęgują i wzmacniają.

Po prawej ręce króla, siedział marszałek Soult, który jako towarzysz broni z jenerałem Brun de Villeret na poufałej był stopie.

Ponieważ tedy obiad składał się z samych potraw mięsnych, sumienny jenerał żadnej ani się dotknął, aby zaś nie zwracać na siebie uwagi, starał się, aby królowej na niczem nie zbywało i aby jej królewska Mość godnie była uczczona. Ale królowa spostrzegła, że jenerał dotąd ani jednej potrawy nie tknął, tylko wszystkie dalej podawał.

— Ależ jenerale, rzekła, cóż to jest? pan nic nie jesz?

— Wasza królewska Mości, rzekł szczerze i wesoło dzielny żołnierz, dziś piątek, czekam na półmisek z postnemi potrawami i mam nadzieję, że mi się coś dostanie.

Na te niespodziane słowa, które tak świetny dały dowód jego wiary, królowa mocno się zakłopotała.

Marszałek Soult, który słyszał tę rozmowę i wcale tak delikatnego sumienia nie miał, chciał przyjść królowej w pomoc i zaczął szydzić z jenerała za jego wierność w wykonaniu praw Kościoła, dodając, że to jest tem dziwniejsze u starego żołnierza.

Co?... to ci się dziwnem zdaje? — rzekł teraz wyzwany jenerał głośno i surowo — a przecie ty mnie znasz i wiesz także, żem nigdy w piątek mięsa nie jadł, chyba na wyspie Łobawie, gdziem, aby nie umrzeć z głodu, jadł to, com jeszcze miał: kawałek głowy mego konia!

Milczenie pełne uszanowania nastąpiło po tych słowach starego rycerza, a półmiski z postnemi potrawami ukazały się zaraz na stole.

DZIEWICA ORLEAŃSKA.

Błogosławiona pastuszka i bohaterka.

W niedzielę dnia 18-go kwietnia bież. roku Ojciec święty zaliczył wśród podniosłych uroczystości w poczet Błogosławionych Pańskich Joannę d'Arc, zwaną Dziewicą Orleańską. Ocaliwszy swoją ojczyznę, Francyę, od nieprzyjaciela, poniosła śmierć męczeńską na stosie w dniu 30-go maja 1431 roku. Podajemy poniżej opowiadanie o życiu nowej Błogosławionej.

We wsi Domrémy, na granicy Lotaryngii, stał między wzgórzami, w ładnej dolinie, domek szanowanego wieśniaka Jakóba d'Arc, który z pracy rąk żywił rodzinę. Córka jego Joanna wzrastała wraz z rodzeństwem, zdrowa na duszy i ciele, zarazem jako wzór cnoty chrześcijańskiej.

Joanna musiała pracować w polu razem z innymi, dopomagała także matce w gospodarstwie, uczyła się prząść i szyć, ale nadewszystko lubiła samotność. Codzień rano pobożna dzieweczka spieszyła na Mszę świętą, a największą dla niej przyjemnością było, gdy mogła pójść do kaplicy Najświętszej Panny, znajdującej się za wsią na le-

sistem wzgórzu. Tam klękała pobożnie i składała kwiaty u stóp Królowej niebios.

Na prostem ubraniu wieśniaczem nosiła Joanna skórę owczą przerzuconą i miała kij pastuszy w ręku, kiedy z swemi owieczkami na łąki szła. Była wysoka i wysmukła, spojrzenie jej pięknych oczu było smętne i dziwnie pociągające.

Pasąc swe owieczki, nie troszczy się o ludzi i nie pragnie ich towarzystwa. Przed jej oczami rozpościerają się piękne widoki i chętnie słucha młoda pastuszka szmeru strumyka, który płynie wśród łąki i krzepi jej owieczki w czasie upału.

Niedaleko od kaplicy Najświętszej Panny rośnie wielki buk rozłożysty, który mieszkańcy zowią bukiem czarodziejskim. Pod tem drzewem siedzi Joanna dnia pewnego i ze złożonemi rękoma przysłuchuje się odgłosom przyrody. Nad łąkami brzęczą owady i wesoło wzlatują białe motyle. Tutaj pewnego dnia usłyszała głos Archanioła Michała, tutaj ukazała jej się święta Małgorzata.

A teraz wydaje jej się, jakoby drzewo zmieniało swe kształty i nagle widzi panią przecudownej urody, otoczoną blaskiem złotych włosów. Pełna zdumienia wpatrzyła się w zjawisko, ale gdy chciała powstać z miejsca, opuściła ją przytomność i padła zemdlona. Kiedy tworzyła znowu oczy, klęczał przy niej pastuszek i chłodził jej czoło zimną wodą.

— Upał pewnie za skwarny dla ciebie Joanno? — zapytał.

— Gdzie ona? — brzmiała cicha odpowiedź.

— Co widziałaś Joasiu, powiedzże mi! — badał pastuszek.

Dziewczynka odpowiedziała mu, że już parę razy ujrzała Archanioła Michała, świętą Katarzynę i świętą Małgorzatę, że jednak dziś pierwszy raz zobaczyła samą Najświętszą Panienkę.

— Jesteś szczególnem dzieckiem łaski, — rzekł chłopiec głęboko wzruszony. — Ale patrz tylko, my tu rozmawiamy, a trzódka rozpierzchła się tymczasem.

Joanna powstała z miejsca i w milczeniu spędzała owieczki, ale postać Królowej niebios miała bezustannie przed swemi oczami.

Serce jej bije gwałtownie i głośno, ręce składają się do modlitwy. Pastuszka zamyka oczy i pogrąża się w zadumie. Otworzywszy je na nowo, spostrzega poczciwą twarz ojca, ku któremu podbiega z wyciągniętemi rękami.

— O mój tatusiu! — woła i oczy jej łzami zachodzą.

— Czy znowu marzyłaś, Joasiu? Porzuć te swoje fantazye niedorzeczne. Nie jesteś taką, jak inne. Czy cię opętał zły duch pychy, iż chciałabyś wynosić się ponad rodziców i rodzeństwo?

— Pan Bóg dał mi, tatusiu, taki wzrok ducha, że widzę, jak wielka ciemność spuszcza się na naszą ojczyznę.

— Pilnuj swych owieczek i nie chciej być czem więcej, niż pastuszką, — rzekł ojciec gniewnym głosem. — Niech do serca twego wstąpi pokój i cisza.

Z temi słowy odszedł. Joanna patrzała za ojcem. Mało ją to obchodziło, że ludzie uważają ją za inną od drugich. Czyż nie doznawała szczęścia prawdziwie niebiańskiego, ujrzawszy przeczystą postać Matki Bożej?

A kiedy podniosła oczy, ukazał się w nich wyraz zachwytu najwyższego. Znowu stała przed nią anielska Pani ze złotemi włosami i przedziwnie łagodnemi oczami.

Joanna padła na kolana. Twarzyczka jej pałała od wzruszenia, a oczy drgały od blasku, jaki roztaczała wspaniała postać niebiańska. I usłyszała głos tak słodki i dźwięczny, jak szmer źródełka lub odgłos harfy.

— Dziewico Orleańska, dusza Twoja czysta. Nie odwracaj się od tego, co Ci Bóg przeznacza. Trudnych rzeczy masz dokonać. Ja ci wskażę drogę, na którą masz wstąpić. W twej ojczyźnie panują ciemności, lud służy błędowi. Idź w głąb Francyi. Tobie przeznaczono oswobodzić miasto Reims i potem ukoronować króla.

— O Panno Najświętsza! — szepnęła Joanna z płaczem, — jakże to się stać może?

— Masz zostać bojowniczką Bożą. Zbawiciel udzieli ci siły do walki. Udaj się do dowódcy w Vauculeurs (czytaj: Wokuler), a potem stanie się wszystko, jak Bóg chce. Nigdy na tej ziemi nie uwieńczy twej skroni wianek mirtowy, niechaj stal opancerzy serce twoje, w groźnej bitwie masz walczyć mieczem, nieść sztandar z wizerunkiem Zbawiciela, zwyciężyć z chwałą jako bojowniczka. Oczy moje

ciągle czuwać będą nad tobą i wprowadzę cię do królestwa miłości. Oto orędzie, jakie ci obwieszczam, aby duch twój oświeciło światło.

I jakby uniesiona obłokami, zniknęła przecudna Królowa niebios z przed jej oczu....

Używając jakiegoś pozoru przd rodzicami, opuszcza Joanna wioskę rodziną, pozyskuje pomoc swego wuja, który ją prowadzi do dowódcy w Vauculeurs.

Po długim oporze wysłano Joannę z pismem do króla, który ją przyjął uroczyście. Otrzymawszy pancerz i sztandar z wizerunkiem Zbawiciela na jednej i Najświętszej Panny na drugiej stronie, Dziewica dosiada rumaka, chwyta miecz w rękę i wyrusza przeciwko nieprzyjacielowi. Na polu walki postać jej błyszczała w lśniącym pancerzu, jak Michał Archanioł.

W tem, jak gdyby wyrósł z ziemi, stanął przed nią rycerz w czarnej zbroi od głów do stóp.

— Kto jesteś? — zawołała Dziewica.

— Niewzywany przychodzę cię ostrzedz Dziewico Orleańska!

Zawróć z drogi, idziesz na śmierć niechybną! Jestem księciem ciemności. Stań ze mną do walki, jeżeli możesz.

Joanna struchlała, a czarny rycerz zapadł w ziemię z szatańskim śmiechem.

Z okrzykiem przerażenia podniosła Joanna swój sztandar i rzuciła się między szeregi nieprzyjacielskie. Wrogowie padali, jak kłosy dojrzałe pod sierpem żniwiarzy i wieczorem załoga angielska częścią poległa, częścią wzięta została do niewoli. Wśród uroczystego bicia dzwonów weszła Joanna do oswobodzonego Orleanu, a we wszystkich kościołach zabrzmiało radosne *Te Deum laudamus.*

Zwycięstwo po zwycięstwie słało się na jej drodze, jedno miasto po drugiem wpadało w ręce Francuzów. Jedyną bronią Joanny w walce o oswobodzenie ojczyzny był jej sztandar, który rycerzom przyświecał w boju i zachęcał ich męstwo.

Wtenczas król odbył przy boku Joanny, uwieńczonej zwycięskim wawrzynem, wjazd do Reims, miasta koronacyjnego. Arcybiskup namaścił go świętem krzyżmem, a Dziewica Orleańska stała podczas uroczystości koronacyjnej

przy jego boku, wśród otoczenia dostojników świeckich i duchownych.

Mieszkańcy jej wsi rodzinnej zbiegli się, by zobaczyć Joannę w blasku zwycięstwa, całowali jej ręce i kraj szaty, a lud wołał: «Cześć ci Dziewico Orleańska, lilio Francyi!»...

Kiedy Joanna dowiedziała się, że Compiègne, miasto królewskie, jest zagrożone i oblężone przez nieprzyjaciół, wtenczas cichaczem opuściła obóz królewski, aby miastu nieść pomoc. Otoczyli ją wrogowie ze wszystkich stron, walczyła bohatersko, jak lwica, lecz ściągnięta niespodzianie z konia, wpadła w ręce Anglików.

Uradowani Anglicy, postanowili zemścić się na swej pogromicielce. Osadzono ją w ciemnym lochu i skazano na śmierć przez spalenie niby za to, jakoby Joanna była działała przeciw Kościołowi św., co oczywiście było kłamstwem i obłudą.

— Nie lękam się śmierci — oświadczyła — jestem wierną memu świętemu Kościołowi i umrę jako dobra chrześcijanka.

W ciemnem więzieniu modliła się Joanna gorąco, oczekując spełnienia okropnego wyroku. Wtem wśród ciemności zabłysła jasna gwiazda i Joanna ujrzała Królowę niebios przy bramie lochu.

— Nie lękaj się — odezwał się głos łagodny — jestem przy tobie i wprowadzę cię do krainy wiecznej szczęśliwości.

Zjawisko zniknęło, a do celi wszedł spowiednik. Joanna odbyła spowiedź i wśród łez i modlitwy przyjęła Najświętsze Ciało Zbawiciela.

Strażnik więzienny przybył ze smutnym swoim orszakiem.

Otoczono ją zbrojnym szeregiem żołnierzy, pod strażą których przybyła na miejsce stracenia, gdzie już stały tłumy ludzi. Ze spokojem wysłuchała Joanna fałszywego oskarżenia i wyroku. Następnie dwóch zbrojnych wojowników wprowadziło ją na stos i przywiązało do pala. Dwóch kapłanów towarzyszyło jej w tej ostatniej chwili. W koło stosu stali oprawcy z płonącemi pochodniami, które podłożyli pod stos. Gdy płomienia zaczęły ogarniać pal, do którego

była przywiązana, wtedy Joanna donośnym głosem, jak trąba Archanioła, zawołała:

— Ludu francuski, pomnij na słowa moje! Nie jestem kacerką, nie jestem heretyczką! Bóg i Najświętsza Panna rozkazali mi uczynić to, co uczyniłam.

Otwórz oczy, ludu ociemniały! Z czasów twej bezbożności powstanie wspaniałość i chwała wiary.

Ludu francuski! Nie tłum iskry Bożej w sercu swojem, nie powracj do pogaństwa i bożyszczów.

Niechaj świątyń nie znieważa obłęd bezbożników! Strzeż prawdy Bożej!

Wśród tłumu podniosły się szmery żalu i politowania. Joanna spojrzała na swego spowiednika, który podniósł krzyż w górę.

Kiedy wzrok swój utopiła w wizerunku Ukrzyżowanego, wyglądała jak lilia, która się zwraca do słońca. Z słowami na ustach: «Najświętsza Panno — Jezu mój»... oddała ducha Bogu.

W kilka lat później na żądanie Ojca świętego i rozkaz króla zbadano proces przeciwko Dziewicy Orleańskiej i przekonano się oraz uznano za fałszywe i kłamliwe wszystkie oskarżenia, wyrok zaś za nieważny. Król kazał uroczyście ogłosić ten dekret uniewinniający we wszystkich miejscowościach całego państwa.

A teraz w czasach zaślepienia i bezbożności we Francyi przypomina Kościół święty bojowniczkę Bożą, wynosząc ją do godności Błogosławionej Pańskiej. Nadszedł wielki dzień zwycięstwa, w którym Namiestnik Chrystusowy obwieścił jako Błogosławioną lilię Francyi, Dziewicę Orleańską.

W miesiąc Maryi.

Za wioską pod figurą — gdy słońca gaśnie krąg,
Schodzi się lud roboczy, z pól żytnich, z bujnych łąk,
I wznosi proste dusze, nad szarą ziemską pleśń,
I leci do stóp Maryi, miłości pełna pieśń.

Czerwone słońce gaśnie, ostatnie blaski śle,
Od pól, od łąk, od lasów majowy wietrzyk tchnie.

I taka cisza błoga, i w sercu jasno tak,
Że serce do stóp Boga, jak wolny leci ptak.

A tam, gdzie w mgle srebrzystej, widnieje boru brzeg,
Świetlana Postać kroczy, lśni szaty zwiewnej śnieg.
Z pod stóp Jej wschodzi kwiecie, gwiazd jasność nad Nią drży,
A ona lekkim krokiem, ku cichej zdąża wsi.

I pobłogosławi łanom, i ziarnom w głębi pól,
I błogosławi chatom, gdzie nędza, mrok i ból;
I błogosławi sercom, co prosty wiodą byt,
I we śnie im wskazuje, pozaświatowy świt.

A czasem nad kołyską, jak Anioł stanie stróż,
I rzuci na skroń dziecka, niebiańskich kilka róż;
A ono już w świat z pieśnią, tak pójdzie, jak na sen,
O białych marząc różach, co w niebie kwitną, hen.

Jerozolima i jej okolice.

Wspomnienia z polskiej pielgrzymki 1907 r.

(Ciąg dalszy).

2. Miejsce dawnej świątyni Salomona.

Gdy król babiloński Nabuchodonozor zdobył i zburzył Jerozolimę (588 przed Chrystusem), wtedy spalono i świątynię. Wprawdzie żydzi odbudowali ją po powrocie z niewoli babilońskiej, a za czasów Pana Jezusa odnowił ją i całkowicie przerobił król Heród dla przypodobania się swym poddanym, jednakowoż nie dorównała ona nigdy wspaniałości i przepychowi pierwszej świątyni, zbudowanej przez Salomona. Pan Bóg przecież mówi o niej przez Proroka Ageusza (2, 8): «Napełnię dom ten chwałą», i dalej: «Większa będzie chwała domu tego pośledniego, niż pierwszego». Większa ma być więc «chwała» i ozdoba tej drugiej świątyni, mniej pięknej, od pierwszej, wspaniałej świątyni Salomonowej. Czemu? Jak słowa Pro-

roka Pańskiego zrozumieć należy? Otóż całą chwałą i ozdobą tej drugiej żydowskiej świątyni był Pan Jezus! Tego szczęścia, tej chwały, nie dostąpiła świątynia Salomonowa, w której znajdowała się tylko Arka Przymierza z manną i dwoma tablicami, na których było wyrytych dziesięć przykazań boskich.

Poraz pierwszy zawitał Pan Jezus do żydowskiej świątyni, stał się jej chwałą i ozdobą, gdy miał 40 dni, zanieśli Go Najświętsza Marya Panna z świętym Józefem, żeby Go ofiarować Bogu Ojcu. Wypowiedział wówczas w tej świątyni Symeon, starzec, Najświętszej Pannie to ważne proroctwo: «Oto ten położony jest na upadek i na powstanie wielu w Izraelu i na znak, któremu sprzeciwiać się będą, i duszę twą własną przeniknie miecz«.... (Łuk. 2, 34). Wtedy św. Józef jako głowa świętej Rodziny, złożył parę gołąbiąt, a starzec pełen radości, wziął boskie Dziecię w swe ręce, pragnąc już spokojnie umierać, gdyż oglądał Zbawiciela. Do tej świątyni udał się Pan Jezus, w niej nauczał, w podziw wprawiał doktorów i w niej zostawał przez trzy dni (Łuk. 2, 41). Tu szatan kusił Pana Jezusa, aby się z ganku świątyni rzucił; tu Zbawiciel, rozgniewany na znieważających miejsce święte, ukręcił bicz z powrozów i począł wyganiać sprzedających i kupujących mówiąc: «Napisano, iż dom mój, dom modlitwy, a wyście go uczynili jaskinią zbójców». (Łuk. 19, 46). Na tem miejscu ocalił Pan Jezus życie cudzołożnej niewiasty; tu przepowiedział swą śmierć i zmartwychwstanie; tu żydzi chcieli Go ukamienować, «lecz Jezus zataił się i wyszedł z Kościoła» (Jan 8, 54). W tej świątyni Pan nasz tak często przebywał za swego życia, nauczał, cuda czynił, a krótko przed swą bolesną męką i śmiercią powiedział śliczne przypowieści: o godach królewskich, o monecie czynszowej, o dziesięciu pannach, o pięciu talentach i inne.

Krótko przed swą męką przepowiedział również Zbawiciel zburzenie tej pięknej, odnowionej świątyni swym uczniom, którzy podziwiali i okazywali mu «budowania kościelne», temi słowy: «Zaprawdę powiadam wam nie zostanie tu kamień na kamieniu, któryby nie zepsowany». (Mat. 24, 2). Proroctwo to spełniło się do-

słownie w 40 lat po śmierci Pana Jezusa, kiedy wódz rzymski «Tytus» zdobył i złupił miasto, spalono i świątynię.... Cesarz Julian Apostata chciał kłam zadać proroctwu Chrystusowemu, usiłował odbudować dawną świątynię żydowską w Jerozolimie (363 roku). Pomimo licznych zabiegów i wielkiego nakładu nie mógł on przecież swego niegodziwego zamiaru wykonać. Opowiadają historycy Kościoła, że wielkie wichry rozrzucały nagromadzone materyały, pioruny pogruchotały rozmaite machiny i przyrządy przeznaczone do budowy, powstało trzęsienie ziemi, ogień się z niej wydobywał tak, iż nawet rozsypały się resztki z dawnego fundamentu. Musiano więc zaniechać niecnego zamiaru i roboty zaprzestać. Spełniły się przeto słowa Pana Jezusa, że «kamień na kamieniu» z dawnej świątyni żydowskiej nie zostanie. Jakżeżby zresztą innaczej być mogło? Przecież sam Zbawiciel, Prawda Przedwieczna, powiedział: «Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą». (Łuk. 21, 33).

Chrześcijanie nie stawiali na tem miejscu żadnego kościoła, sądzili bowiem, że na niem spoczywa gniew i przekleństwo Boże. Dopiero, cesarz Justynian I. wystawił obok tego miejsca bazylikę (530 roku) w południowym kierunku, tam, gdzie według tradycyi, Najświętsza Marya Panna wraz z innemi córami żydowskiemi przepędziła swą młodość na bogomyślności w zakładzie przy świątyni.

Dziś znajdują się na miejscu świątyni żydowskiej i budynków do niej należących dwa tureckie meczety: Omara i El-Aksa.

3. Meczet Omara.

Gdy Jerozolima dostała się w ręce Arabów (637 r.) dopytywał się podobno Kalif Omar o kamień, jaki Patryarcha Jakób miał pod głową w czasie snu, w którym widział drabinę sięgającą z ziemi do nieba i Aniołów po niej chodzących. Według opowiadania rabinów miano go później przenieść do świątyni jerozolimskiej, do miejsca świętego świętych — na nim miała spoczywać Arka Przymierza z przykazaniami. Gdy Omarowi miejsce dawnej świątyni i ów mniemany kamień wskazano, postanowił nad nim zbudować najwspanialszy meczet (dom modlitwy). Za-

miar jego wykonał jednakże 50 lat później, jeden z jego następców, lubo meczet nosi nazwę swego projektodawcy. Koszta budowy meczetu wynosiły olbrzymią sumę, bo przeszło milion koron, co na ówczesne czasy było kwotą bardzo wielką. Późniejsi Kalifowie również wydali bajeczne sumy na wykończenie, ozdoby i restauracye meczetu.

Wspomniany meczet Omara jest istotnie arcydziełem sztuki arabskiej; po meczecie Zofii w Konstantynopolu nie ma podobno piękniejszego meczetu na świecie. Jest on zbudowany w kształcie ośmioboku, którego wnętrze ma 53 metrów średnicy. Nad ośmiobokiem wznosi się wspaniała kopuła mająca 30 metrów wysokości a 18 średnicy. Rozkład, perspektywa i harmonia całej budowy jest prześliczna; ściany są wykładane z pięknej ornamentyki liniowej i roślinnej; okna są złożone z pięknej mozaiki. Jednakże odczuwa się w nim, jak zresztą w każdym meczecie, wielką pustkę i próżnię, chłód i zimno, nic tu nie przemawia do serca i uczuć naszych!...

W środku meczetu, pod kopułą, spoczywa ów legendarny kamień, najwyższy szczyt góry Morya, otoczony śliczną balustradą wyrzeźbioną z drzewa. Jest to wielki głaz nieciosany i nieforemny, mający prawie 18 metrów długości, przeszło 13 szerokości, a od jednego do dwóch metrów wysokości. Żydzi i Muzułmanie przywiązują liczne legendy do tego kamienia. Na nim chciał — według tradycyi — Abraham ofiarować swego syna Izaaka Panu Bogu; na nim miał Melchizedech ofiarować chleb i wino, tu było miejsce «święte świętych» w świątyni Salomona. Turcy opowiadają, że tu modlił się także ich prorok, Mahomet, a w czasie jego modlitwy chciała skała z nim wzlecieć do nieba, jednakowoż Anioł ją powstrzymał, dlatego wisi w powietrzu. Gdy się przecież zwiedza podziemną kryptę, przekonać się można, że ów kamień bynajmniej w powietrzu się nie unosi, lecz jest wcale silnie oparty. W krypcie tej ukryli żydzi Arkę Przymierza, gdy król babiloński Nabuchodonozor zburzył świątynię Salomona.

Wspomnieć jeszcze należy, że Turcy nie wpuszczają nikogo do meczetu, dopóki nie zdejmie z nóg obuwia. Musieliśmy chcąc nie chcąc do tego przepisu tureckiego zastosować. Można sobie też było za kilka centów pantofli

pożyczyć i na buty założyć, lecz ich dla nas wszystkich nie starczyło. Zdejmowaliśmy więc obuwie, które radzono nam w ręku trzymać, bo mogłyby się łatwo ulotnić. I tam w takiej świętości tureckiej znajdują się ludzie z długimi palcami. Chodziliśmy więc po meczecie w szkarpetkach z obuwiem ręku, a z nakrytą głową (i to koniecznie!) podziwiając arcydzieło sztuki muzułmańskiej. Ciekawy i zabawny przedstawialiśmy widok. Jeden na drugiego spoglądał z uśmiechem widząc go w ten sposób chodzącego po meczecie. Trzeba było tylko fotografa z aparatem, żeby tę scenę uwiecznił....

Oprowadzał nas jeden z derwiszów, podobno jakaś wielka figura, w godności naszego biskupa. Jakie miał ubranie, dokładnie sobie nie przypominam, coś w rodzaju obszernego płaszcza, czy hałata, na głowie turban Zdawało mi się, że tak może wyglądał «święty turecki?!»...

Jedna spotkała nas w tem meczecie jeszcze niespodzianka. Gdy wychodziliśmy wyciągał rękę ów derwisz, niby biskup ich i prosił nas o bakszysz. Nie wiem, czy taki na Wschodzie zwyczaj, że każdy, czy potrzebuje, czy nie potrzebuje, prosi o jałmużnę lub napiwek?... Wszędzie niemal słyszy się wołanie i prośbę o bakszysz, co pielgrzymów już nietylko razi, lecz jest dla nich prawdziwą plagą. Na ulicy pełno żebraków i trędowatych, którzy trzymają swe blaszane garnuszki i wołają błagalnym i przenikliwym głosem: «baksis! baksis!! spasij baksis!!»... Korzystają z hojności i jałmużny pielgrzymów i próżniaki. Razu pewnego wyciąga rękę do mnie na ulicy chłopczyk, może dziesięcioletni, wcale porządnie ubrany i prosi: baksis! Krzyknąłem na niego i pogroziłem mu palcem. Na to się uśmiechnął i poszedł spiesznie dalej ulicą.

Ubogim i nawet próżniakom się nie dziwią, ale żeby ich, jakoby biskup wyciągał do pielgrzymów rękę i prosił o bakszysz, to prawie dziwne i śmieszne. Ale co kraj, to obyczaj!

Meczet El-Aksa.

Wspomniałem wyżej, że cesarz Justynian I. zbudował piękną bazylikę na miejscu, gdzie Najświętsza Marya Panna swą młodość przepędziła w zakładzie przy świątyni. Gdy

Jerozolima dostała się w ręce Arabów, zamienił Kalif Omar ową bazylikę na meczet, który nazwano El-Aksa, to jest najdalej oddalony (od Mekki). Formę krzyża, w której była dawna świątynia katolicka zbudowana, a mająca trzy nawy, starano się zatrzeć w ten sposób, że po każdej stronie dodano jeszcze dwie nowe nawy. Tak więc powstał wielki kolos meczet El-Aksa, mający aż 7 naw, 90 metrów długi a 60 szeroki. Przedsionek spoczywa na siedmiu arkadach, pod któremi na froncie znajduje się 7 drzwi wchodowych, prowadzących do każdej nawy z osobna. W miejscu krzyżowania się naw wznosi się na zewnątrz piękna kopuła.

Nie zupełnie udało się Arabom zatrzeć ślady dawnej świątyni chrześcijańskiej, spostrzega się to od razu, gdy się zwróci uwagę na jej zewnętrzną strukturę. Wnętrze tego meczetu sprawia smutne i przykre wrażenie; odczuwa się w nim daleko większą pustkę i próżnię, niż w meczecie Omara. Nie zmniejszają jej wcale olbrzymie pająki, zwieszające się ze sklepienia, zaopatrzone w niezliczone lampy, które zapalają w czasie wieczornych uroczystych nabożeństw. Podobno ich liczba dochodzi do 20 tysięcy! Na uwagę zasługuje na południowej ścianie wnętrza meczetu, pod kopułą, piękna framuga, wyłożona majoliką, do której się Turcy w czasie modlitwy zwracają. Na zachodniej stronie znajduje się ambona prześlicznej roboty. Za nią pokazują odcisk l e w e j s t o p y C h r y s t u s a, wyciśnięty na kamieniu, który tu z góry Oliwnej w połowie XVII. wieku miano przenieść.

Jako rzecz nader ciekawą pokazywano nam w tym meczecie dwa filary, blisko siebie stojące, a oba znacznie wytarte. Opowiadano nam, że kto z Turków mógł się między nimi przecisnąć był przeznaczonym do tureckiego raju. Taka wiara panuje między wyznawcami Machometa. Wielu z nich się przeciskało, nieraz z wielkim trudem i wysiłkiem, pragnąc się dowiedzieć o swojem przyszłem przeznaczeniu. Razu pewnego pokusił się jakiś otyły basza turecki, lecz próba mu się nie udała. Udusił się między owymi filarami! Od tego czasu wstawiono między nie zębate koło, aby żaden wyznawca proroka nie narażał się w przyszłości więcej na podobne próby.

5. Stajnie Salomona.

Z meczetu El-Aksa udaliśmy się do tak zwanych stajen Salomona, znajdujących się na południowo-wschodniej części planu dawnej świątyni. Są to olbrzymie podziemia, suteryny, zbudowane prawdopodobnie przez Salomona na stokach góry Morya w tym celu, aby zyskać więcej równej przestrzeni i miejsca pod budowę świątyni i otaczających ją gmachów. Jak wielkie te podziemia możemy się przekonać z następujących liczb: 20 szeregów słupów z olbrzymich głazów — a wszystkich takich słupów jest 88 — dzieli te suteryny na 13 sklepionych sal, w których siedm ma po 60 metrów długości.

W jednej z tych olbrzymich sal zaśpiewaliśmy pobożną pieśń. Zapewne po raz pierwszy roznosiło poważne echo pieśń polską w wielkiem podziemiu, na stokach pamiętnej w Starym Zakonie, góry Morya w Jerozolimie!

Nie wiadomo, czy król Salomon w tych suterenach trzymał konie; natomiast jest rzeczą pewną, że królowie Jerozolimy i Zakon Templaryuszów mieszkający przy bazylice Ofiarowanie Najświętszej Maryi Panny (przy dzisiejszym meczecie El-Aksa) trzymali w nich w wielkiej ilości swe konie i zwierzęta juczne. Niektóre filary mają jeszcze ślady kółek do przywiązywania koni; pokazywano również rodzaj kamiennego żłobu, który się dotychczas zachował.

Do tych olbrzymich podziemi prowadzą wąskie i kręte schody, zakończone niskiemi drzwiami. Nieco światła dostaje się do wnętrza przez małe boczne otwory.

6. Mur płaczu.

W południowo-zachodnim kierunku, niedaleko miejsca dawnej świątyni Salomonowej znajduje się zewnętrzna część muru otaczającego miasto, zwana żydowskim murem płaczu. Jest to resztka muru (48 metrów długa a 18 wysoka), który oddziela górę Morya od Syonu, lecz mur ten nie należał już do świątyni Salomona.

Mówią, że żydzi dlatego na miejsce dawnej świątyni nie przychodzą, bo się boją stanąć nogą na miejscu świętem świętych, gdzie wolno było się zbliżać arcykapłanowi i to tylko raz w roku. Ponieważ nie wiadomo napewno,

gdzie się to miejsce znajduje, dlatego żydzi wcale tu nie przychodzą.

Jest w tem wiele ironicznej przesady. Wiadomo bowiem, że w przeszłych wiekach wstęp na to miejsce był surowo wzbroniony (pod karą śmierci) dla żydów i chrześcijan. Dopiero w ostatnich czasach pod naciskiem rządów europejskich Turcy nie robią już tak wielkich trudności, trzeba im jednakże drogo się opłacać, nim raczą udzielić zezwolenia, zwłaszcza na zwiedzanie meczetów Omara, El-Aksa i Wieczernika. Od przewodniczącego pielgrzymki dowiedziałem się, że w Jerozolimie wydano na same łapówki (bakszysze), prawa wstępu... 11 tysięcy franków! Oto łaskawość turecka!

Ponieważ żydom nie wolno było się zbliżać i płakać na miejscu dawnej świątyni, dlatego przychodzili ich ojcowie, lamentowali i płakali przy szczątkach owego starego muru; obecnie czynią toż samo ich prawnuki. Rząd turecki raczy im na to zezwalać za złożeniem wielkiego bakszyszu, wynoszącego rocznie 10 tysięcy franków. Jest to już niejako stały podatek, który Turkom bez żadnych targów złożyć trzeba.

Wspomniana część muru ma stary wygląd; są to ogromne ze starości poczerniałe głazy, które prawdopodobnie były świadkami nauk i czynów Pana Jezusa. Poznaczone są różnymi napisami i wyjątkami z Pisma świętego i z talmudu.

Do tych murów schodzą się żydzi codziennie a zwłaszcza w piątki przed szabatem i w wigilie swych świąt uroczystych po południu. Tu wywodzą swe lamenty, żale i skargi, płacząc, szlochając wielkim głosem. Widok ten sprawiał na nas wielkie wrażenie. Wprawdzie jest nad czem płakać, bo ich praojcowie wzgardzili Mesyaszem i ukrzyżowali Go, dopuszczając się strasznego bogobójstwa, lecz i prawnuki tego nie uznają, nie nad tem oni płaczą!... Za wielką, zdaje się im kara, jaką ich Bóg nawiedza, gdyż wszędzie są tułaczami, bez ojczyzny, bez świątyni, bez ołtarza, bez króla i kapłanów; wszędzie są w pogardzie i poniżeniu. Sami na siebie dobrowolnie tę karę ściągnęli, wołając przed Piłatem: «Krew jego (Pana Jezusa) na nas i na syny nasze». (Mat. 27, 24). Oto skutki tego

okropnego przekleństwa! Krew Boga-Człowieka ciąży na tym nieszczęśliwym narodzie!...

Gdyśmy już wracali od muru płaczu, przybliżyło się do nas kilku żydków z Galicyi (z Krakowa, Bochni, Stanisławowa), którzy przybyli tu płakać i tu pozostać pragną, choć cierpią niedostatek, bo chcą po śmierci spocząć na dolinie Józefata, na której ma się kiedyś odbyć sąd ostateczny. Dziwiło nas to przywiązanie ludu żydowskiego do utraconej Ojczyzny.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ŁZY MATKI BOŻEJ.

Legenda.

Było to wtedy, gdy Matka Boża chodziła jeszcze po ziemi, nieszczęśliwych pocieszała, smutki koiła, łzy ocierała, a mały Jezus, Mądrość przedwieczna, świadek przeczystego jej żywota, wtedy już wiedział, że przez długie wieki i aż do końca świata biedni wygnańcy z padołu łez zwracać się będą ku Jego Matuchnie, błagając w pokorze o pomoc w niedoli, a z ust milionów, z pałaców i poddaszy, popłyną w niebiosy słowa rzewnej modliwy: «Pod Twoją obronę, pod Twoją opiekę, uciekamy się święta Boża Rodzicielko! Pośredniczko nasza! Matko i Opiekunko nasza! przyczyń się za nami!»

. . . .

Dzień się miał ku schyłkowi. Cichy i ciepły wieczór letni nadchodzi po pogodnym dniu.

Słoneczko schowało się już do połowy poza brzozowym laskiem gęsto podszytym kępami rozłożystej paproci, leciuchny wiaterek niósł łagodne powiewy i woń z siana świeżo koszonej łąki: ptaszki świergocąc wracały do gniazd swoich, tuż w poblizkim stawie, żaby rozpoczęły pieśń monotonną, roje muszek brzęczały w powietrzu, przesyconem tchnieniem wiosennem, a i z wioski, co długim szeregiem chat rozłożyła się pod lasem, dochodziły odgłosy rozmów i nawoływań, ryk bydła i psów szczekanie.

Tam życie wrzało jeszcze w całej pełni, a na szerokiem polu, w promieniach zachodzącego słońca srebrzyło się doj-

rzewające żyto, pełne i ciężkie kłosy chyliły się leciuchno ku ziemi wiatrem poruszane, łan zielonej jeszcze pszenicy rozesłał się po drugiej stronie miedzy, tu i ówdzie mak bujnie wychylał czerwoną swą główkę lub nęcił oko modry bławatek i różową kąkol, miedzą zaś szła Marya, prowadząc za rączkę małego Jezusa.

Matuchna Boża, ta lekarka cudowna, «Uzdrowienie chorych», wracała z poblizkiej wioski, dźwignąwszy z ciężkiej niemocy ubogą wyrobnicę.

Szła słodko uśmiechnięta, pochylona nieco ku gwarzącemu roztropnie Synaczkowi, a promień zachodzącego słońca, kładł Im się kornie pod stopy w niemym hołdzie.

Wokoło spokój był i cisza. Nagle od strony wioski rozległ się gniewny krzyk niewieści i łajanie. Z chaty wybiegła dziesięcioletnia ubogo odziana dziewczynka, płacząc żałośnie.

— O matuś moja, matuś, czemuś mnie odeszła? co ja pocznę biedna na świecie? — skarżyła się boleśnie, załamując drobne, wychudzone rączyny, łkanie wstrząsało wątłą jej postacią, a łzy płynące po twarzy, mieszały się z krwią, sączącą się ze zranionego czoła.

— O matuś, moja matuś! zabierz mnie do siebie.... O matuś nie zostawiaj samej sieroty... — zawodziła dziewczynka tak żałośnie, że kamień byłby się wzruszył, a cóż dopiero pełne niewyczerpanej litości serce Maryi!

— Co ci to dziecko? — spytała łagodnie, podchodząc ku niej.

Dziewczynka ucichła i ukryła twarz w dłoniach, drżąc jeszcze cała od wewnętrznego wzruszenia.

— Co ci to, dziecko? — powtórzyła Marya, przygładzając dłonią jej rozrzucone włosy.

Zalęknione oczy pełne łez podniosły się ku słodkiej twarzy Matki Bożej.

— O Pani, ratujcie sierotę! — zawołała żałośnie i rozpłakała się znowu.

— Biedactwo... widzę krew na twem czole. Kto cię zranił? kto cię skrzywdził, sierotko? Nie płacz, ranę obmyjemy i opatrzymy, a wkrótce i śladu nawet z niej nie będzie — mówiąc to, Marya wydobywała już z zawiniątka płótno i maść gojącą.

Mały Jezus przyglądający się temu w milczeniu, pobiegł ku dziewczynce i dodając jej wiązankę świeżo zerwanych polnych traw i kwiatków, rzekł z dziecięcą pieszczotą:

— Nie płacz, kwiatki takie ładne, będzie z nich śliczny wianuszek! nie płacz!

Mimo to łzy płynęły z uczu małej; przestrach i obawa malowały się we wyrazie bladej twarzyczki, a niespokojne spojrzenia biegły trwożnie ku wiosce.

Spostrzegła to Matka Boża.

— Czego się trwożysz, dzieweczko? — spytała łagodnie — zaraz ci ranę opatrzę, i powrócisz do ojca.

— Ja nie mam ojca, — szepnęło dziecko.

— Więc masz zapewne rodzeństwo?

— Mam tylko macochę, a ona mnie tak bije, katuje..., dzisiaj kazała mi podźwignąć wiadro wody, nie mogłam... woda się rozlała, i za to ona tak mię ukarała — mówiła sierota przerywanym głosem.

Głęboki cień smutku padł na słodkie oblicze Maryi.

— Biedactwo... — szepnęła, a głośniej dodała:

— Więc tak ci źle na świecie dzieweczko?

— Oj, źle! dawniej bywało, gdy matuś moja żyła, to upieściła swoją Rozalkę i ukochała, ale matuś zawieźli na cmentarz.. potem to i ojciec nie krzywdził..., ale macocha... o! ona mnie zabije — dokończyła z płaczem sierota.

— Bądź dobrem, cierpliwem dzieckiem, to i druga twoja matka ułagodzi się i pokocha cię z czasem — rzekła Matka Boża pojednawczo.

— O nie! ona mnie nie pokocha; kto tak bije ten nie kocha — szepnęło dziecko i odchylając ubogie swe szaty, pokazało ranami okryte ramiona i plecy.

Matka Jezusa pochyliła się nizko ku temu krwawemu świadectwu nieludzkiego okrucieństwa; słowa zamarły jej na ustach, a ze słodkich oczu popłynęły duże łzy bólu i litości. Spływały cicho, ciężkie i wielkie na płową i roztarganą głowinę dziewczynki, na wiązankę kwiatów we wychudłej rączce dziecka, na polne trawy, obficie zarastające brzegi miedzy.

W płomieniach zachodzącego słońca łzy Matki Bożej, jak najcenniejsze brylanty, mieniły się wszystkiemi bar-

wami tęczy, a Ona tymczasem dokonywała dzieła miłosierdzia, opatrując lekko i zręcznie krwawiące się jeszcze rany biednej sierotki.

Mały Jezus przysiadł u nóg Matki na miedzy i gwarzył sobie zcicha do polnych kwiatków, do robaczków, snujących się tu i ówdzie, do kamyków przydrożnych, zwyczajnie, jak dziecko.

Cisza i spokój panowały wokoło, wietrzyk tylko leciuchno potrącał o łan pszenicy, szumiącej tajemniczo, i pochylał ku ziemi pełne, chlebodajne kłosy żyta, zapóźniona pteszyna, spiesząc do gniazdka, świergotała w przestworzu, na pogodnem niebie goniły się lekkie i jak puchy rozsypane białe chmury, a z łagodnych oczu Maryi Najświętszej płynęły łzy bólu i litości....

Duże i ciężkie, mieniące się krwawo, zawisły na polnej trawie, zwanej pospolicie «drzączką» i przez wieki rozmnożone w tysiące, przypominają nam po dziś dzień Cudowną Lekarkę «Uzdrowienie chorych», do której wznoszą się błagalne myśli i serca nasze, a z ust milionów i ze wszech krańców świata płyną słowa gorącą miłością i wiarą natchnione:

»O Maryo, Pocieszycielko strapionych! Wspomożenie wiernych! módl się za nami!»

ROZMAITOŚCI.

Przedhistoryczne miasto.

W górach San Jacinto w Kalifornii (w Ameryce) odkryto miasto przedhistoryczne, czyli z bardzo dawnych czasów, dowodzące, że niegdyś była tam cywilizacya wysoko rozwinięta. Odkopano w owem mieście około tysiąc domów kamiennych, ulice brukowane i różne przedmioty do użytku codziennego.

Koszta odwiedzin monarszych.

Król angielski pobiera oprócz zwykłej listy cywilnej (pensyi) osobny naddatek na pokrycie kosztów przyjmo-

wania obcych monarchów, przybywających w gościnę na dwór królewki.

W roku 1907/8 wydano na przyjęcie duńskiej pary królewskiej blisko 100 tysięcy koron, na przyjęcie zaś cesarza Wilhelma i jego żony 180 tysięcy koron.

Mumia Faraona.

W pewnym starym grobowcu egipskim odnaleziono niedawno zaszuszone zwłoki, (czyli mnmię) króla egipskiego Menephtaha, tego z Faraonów, o którym pisze Mojżesz, że zginął w falach Czerwonego Morza, w pościgu za żydami, gdy ci uciekali z Egiptu.

Przy sekcyi zwłok stwierdzono, że aorta (główna tętnica) nosi wyraźne oznaki zwapnienia tętnic, które u osób podeszłego wieku często spotkać można.

Najdroższa chusteczka do nosa.

Królowa-wdowa włoska Małgorzata posiada drogocenną chusteczkę do nosa, zrobioną z najdawniejszych koronek, to jest (delikatnych tkanin) weneckich. Wartość tej chusteczki oceniają na 200 tysięcy lirów. Jakaś milionerka amerykańska dawała królowej trzy razy tyle, ale bezskutecznie, bo królowa nie prowadzi handlu chusteczkami.

Jak długo można żyć bez oddychania?

W Anglii utonęło niedawno dwoje małżonków w Tamizie. Obecnie dla oznaczenia spadkobiercy koniecznem jest ustalenie, który z małżonków umarł ostatni. Ostatni umarł zaś ten, w którego płucach znajdowało się w chwili zatonięcia największa ilość powietrza. Nawet bowiem po utracie przytomności może człowiek jeszcze żyć od 10 do 12 minut bez oddychania, jeżeli płuca wypełnioe są powietrzem. — Po pewnej wprawie można nabrać do płuc 370 centimetrów powietrza i wytrzymać bez oddychania 12 minut. Łowcy pereł przebywają pod wodą przeciętnie od 3 do 4 minut.

Skutki palenia tytoniu.

Dr. Szebrowski poddawał króliki działaniu dymu tytuniowego, a nadto wstrzykiwał im rozczyn soli przepo-

jony dymem powolnie spalonego tytoniu. Doświadczenie wykazało, że dym tytuniowy działa szkodliwie na naczynia krwionośne i może być przyczyną ich zwapnienia, a także i przedwczesnej starości.

Balonem przez morze.

W mieście amerykańskim Indianopolis czynią dwaj Amezykanie Fishen i Baumgangh przygotowania do podróży balonem przez morze z Ameryki do Europy. W tym celu budują olbrzymi balon, (statek powietrzny), do którego przymocowanych będzie 20 mniejszych balonów, by zawartością ich gazn można w drodze zastąpić ubywający gaz głównego balonu. Śmiałym tym podróżnikom towarzyszyć będzie równocześnie na morzu osobny okręt dla niesienia im w razie potrzeby pomocy ratunkowej.

Kraina karłów.

Badacz i podróżnik amerykański Dr. Geil, który obecnie bawi w Chinach środkowych dla badań naukowych, odnalazł tam w niedostępnych górach szczep dzikich ludzi bardzo małych, czyli karłów. Ludzie ci, których ciała pokryte są długim włosem, zbiegli na widok podróżników i ukryli się w jaskiniach.

Trumny papierowe.

Przed kilkunastu laty odbył pewien wydawca amerykański podróż wzdłuż wybrzeża północno-amerykańskiego w łodzi sporządzonej z papieru i gazet. Długość drogi wynosiła 10 kilometrów z czego około 2 kilometry na pełnem morzu.

Ten niezwykły statek, na którego zbudowanie użyto 300 gazet, miał być dowodem, że przedmioty z papieru mogą posiadać nadzwyczajną trwałość i wytrzymałość. Jak wiadomo, przemysł papierowy rozwinął się ogromnie w tym kierunku. Od długiego już czasu są w użyciu koła z masy papierowej, beczki, flaszki i t. p.

Obecnie donoszą o nowem zastosowaniu masy papierowej. W Ameryce rozpoczęto od pewnego czasu budo-

wać trumny z papieru „maché“, a trumny te mają być trwałe i tańsze od trumien ze zwykłego miękiego drzewa. Wśród uboższych warstw ludności zyskała podobno nowa gałąź przemysłu papierowego wielu odbiorców, chociaż wśród ogółu ludności panują jeszcze uprzedzenia.

Z HUMORYSTYKI.

Bardzo religijny. Żona (do męża, który wraca bardzo późno do domu i w dodatku pijany): Łajdaku jakiś jeden! To nie mogłeś już tam, gdzie piłeś, zostać na noc?!

Mąż: M...oja du...szko, chcia...łem to zrobić, ale nie m...o...głem z...asnąć bez kaza...nia!

Wyjaśnienie. — Nie rozumiem, jak mogliście rzucić garnkiem w głowę swej żony?

— A czy pan sędzia zna moją żonę?

— Nie znam.

— No, to niech pan sędzia temu się nie dziwi.

W restauracyi. Gość. — Ależ ta wołowina twarda, jak podeszwa!

Kelner. — My temu nie winni.

Gość. — A któż?

Kelner. — Wół.

Na ulicy. Przechodzeń do chłopca, który oprowadza żebraka ociemniałego:

— Od jak dawna ojciec twój nie widzi?

— Zwykle od 7-mej godziny z rana do 8-mej wieczorem.

Dziwny powód radości. — Cóżeś dziś taki rozpromieniony?

Młodziutki adwokat: Powinszuj mi. Mam pierwszą sprawę w sądzie.

— Kogo bronisz?

— Siebie, bo mnie gospodarz chce wyrzucić z mieszkania, gdyż nie mogłem mu zapłacić komornego.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.